

— Dlaczegożby nie?
 — Dostała pani mój list?
 — Tak jest!
 — W takim razie pani już wie, że ja znam doskonale wszystkie „role“ pani?
 — No, a jeśli tak?
 — Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, jaki pani ma w tem cel.

— Nie może pan trochę poczekać?
 — Absolutnie nie, moja szanowna pani! Odkąd spostrzegłem, jak nadzwyczajne postępy zrobiła pani w angielskiem, nie mam już najmniejszej ochoty do czekania.

— Dobrze, ale w takim razie robisz pan to, czegoś pan nie powinien.

— Pani mnie wyzywa!
 Grzegorz Robertson włożył szybko rękę do kieszeni.

— Jestem wprawdzie słabą jeno kobietą — ciągnęła Marya dalej — ale jestem zdecydowana na wszystko. Wyjmij pan, proszę, rękę z kieszeni. Ja mam za sobą dobrą opiekę. Strzał zwoła natychmiast wszystkie, stojące tutaj naokoło patrole policyjne. Widzi pan, że rewolwer na nic się panu nie przyda.

Zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości.

— Więc czego pan chce ode mnie? — spytała Marya.

— Chciałbym panią przeciągnąć na swoją stronę i usługi pani wziąć dla siebie.

— Czyli, mówiąc inaczej: chcesz mnie pan przekupić, abym zaprzestała swoich dalszych badań i nie wydała nikomu tego, co już wiem.

— A ileż pani wie?

— Tego się pan dowiesz nieza-

długo.
 — Dam pani pięć tysięcy dolarów, jeśli pani jutro opuści Nowy Jork i uda się na dwa lata do Europy.

— Bądź co bądź szlachetna propozycja!

— Zdecyduje się pani przyjąć ją z połączonemi z nią warunkami?

— Nie.

— W takim razie powiedzmy... dziesięć tysięcy?!

— Nie.

— Jeśli się pani nie zgodzi, to pani będzie bardzo ciężko plany własne zrealizować — rzekł Robertson na pół ironicznie, na pół groźnie.

— Ja się pana nie boję!

— To giń! szatańska kobieto! — zawołał, wybuchając wściekłością i rzucając się na nią z wyciągniętym rewolwerem. Zanim jednak potrafił odciągnąć cyngiel, został naraz uderzony nożem w ramię, tak, że mu broń wypadła z ręki. Kiedy odzyskał przytomność, Maryi już nie było.

Strasliwie wzburzony opuścił pusty plac i udał się, mimo późnej godziny, do swego pomocnika, do Mac Guire. Odważna kobieta wyszła z za krzaków i szła za nim, niespostrzeżona przez niego.

Stanawszy tuż przy niskim, parterowym oknie małego, zapadłego domku, Marya mogła doskonale obserwować obojgu.

Robertson mówił coś przekonująco do chudego Szkota, który tylko od czasu do czasu skinieniem głowy dawał znać, że słucha. Mac Guire był człowiekiem, z którego twarzy znać było, że nie lęka się niczego, co mu przyniesie korzyść. Czarne włosy, spadające mu rozczochraną grzywką na czoło i czarna jak węgiel, kędzierzawa broda, potęgowały jeszcze wyraz dziczności i surowości, przebijający się w rysach twarzy. Wzrostu był niskiego, postaci szczuplej, ale męska fizjonomia mówiła wyraźnie, że, gdzie mu brakło fizycznej siły do wykonania zbrodni, tam brak ten zastępował stokrotnie podstępem, chytrością, sprytem i dzikością.

I z takimi ludźmi wdawał się teraz Grzegorz Robertson!

Marya czuła, że z tej strony grozi jej największe niebezpieczeństwo. Wtulona w ciemny kąt, słyszała, jak Robertson, stojąc w sieni, na odchodnym jeszcze mówił do Szkota:

— Więc, jeśli mi pan przyniesiesz dowody jej

śmierci, otrzymasz pan pięć tysięcy dolarów w nagrodę. Staw się pan po dokonaniu zadania w mojej willi, a ja panu natychmiast wypłacę tę sumę!

Marya ucieszyła się. Nareszcie nastęczała się jej sposobność dostania się do willi Robertsona. Przypuszczała, że on gdzieś w swoim domu ukrywa skradzione papiery, nie wiedziała tylko, jak się miała urządzić, aby się dostać do niego.

Na drugi dzień wieczorem stała Marya przed zwierciadłem i studyowała nową rolę. Każdy aktor mógłby się być od niej uczyć. Przed lustrem stał Mac Guire, taki, jak żył i jak się ruszał — bujne czarne włosy, śniada cera twarzy, kędzierzawa broda, krzaczaste brwi — krótko, Marya tak była ładną podobną do Szkota, że, gdyby ich fizjonomie widział ktoś razem obok siebie, to absolutnie nie byłby w stanie ich rozróżnić.

Późnym wieczorem Marya, znowu przebrana jako pani Brown, wyszła z mieszkania, niosąc w ręku w torebce wszystkie rzeczy, potrzebne jej do przebrania się za Mac Guirea.

Zaledwie uszła kilka kroków, zauważyła, że



— W imieniu prawa aresztujemy pana!

ktos za nią idzie. Przechodziła więc wszerz i wzdłuż rozmaite ożywione ulice, chcąc się przekonać, czy się nie łudzi. Przechodząc przez jakiś plac, rozglądając się, jakby czekała na tramwaj. Może dwadzieścia kroków poza sobą spostrzegła Mac Guirea, który się właśnie zatrzymał przy jakimś oknie wystawowem.

Marya poszła więc dalej swoją drogą, Mac Guire za nią. Na rogu dwóch ulic zobaczyła dwóch elegancko ubranych panów, rozmawiających ze sobą. Byli to tajni agenci, z którymi się umówiła. Marya, a raczej pani Brown, podeszła ku nim, jak gdyby przypadkiem spotkała na ulicy dwóch znajomych. Mac Guire nie przeczuwał nawet, o czym ona przez te kilka minut z nimi rozmawiała. To też, kiedy pani Brown po chwili pożegnała się z nimi, Szkot poszedł znów w pewnym oddaleniu za nią. Nie zauważył wcale, że ci obydwa panowie idą tuż za nim. Zgłupiał więc poprostu, kiedy obydwa nagle chwycili go pod ręce i po mimo jego obrony, wsadzili go do dorożki.

— W imieniu prawa aresztujemy pana!

To było wszystko, co mu powiedzieli. Potem odebrali mu rewolwer, który miał przy sobie ukryty.

Marya doniosła policyi o rozmowie Robertsona z Mac Guirem i w ten sposób się obroniła.

Że policya odkryła w Szkocie poszukiwanego od dawna rzezimieszka i zbrodniarza, to już nie należy do naszego opowiadania, wystarczy, jeśli się Czytelnik dowie, iż Mac Guire za wiele ciężkich, w ciągu kilku lat popełnionych zbrodni skazany został na dożywotnie więzienie. Marya ze swej strony nie obciążała go już zupełnie, wystarczało jej, że się od niego uwolniła, a w sercu czuła nawet wdzięczność dla nędznika. On to bowiem był tym, który pośrednio dopomógł jej do odzyskania skradzionych papierów, bo w jego masce zdołała wdrzeć się do willi Robertsona.

* * *

Była może północ, kiedy Robertson niespokojnie przechadzał się po swoim pokoju. Czoło porało mu się w głębokie bruzdy, które zdradzały trwogę, jaka go żarła od czasu, kiedy się dowiedział, że francuska pokojówka zna jego tajemnicę. Z febrycznym drżeniem oczekiwał Szkota,

który mu miał przynieść pewną wiadomość, że jego najzaciętszy wróg nie przebywa już pomiędzy żywymi...

Nareszcie w drzwiach stanął służący i zameldował, że jakiś nieznajomy pragnie mówić z jaśnie panem.

— Przyprowadź go do mnie!

Służący wyszedł i po chwili wprowadził fałszywego Mac Guirea do swego pana.

Bankier starannie zamknął drzwi, podszedł też do Szkota i zapytał cichym, ze wzruszenia drżącym głosem:

— Spełnione?

— Spełnione! — odparł Mac Guire.

— Uczyniłeś ją pan nieszkodliwą, znikła bez śladu?

— Tak jest.

Robertson zbladł jak ściana.

— Udało się panu rzeczywiście sprzątnąć ją ze świata?

— Tak jest!

Przez kilka chwil Robertson nie mógł ani słowa wymówić, potem jednakże wybuchnął:

— Jakie dowody mi pan przyniósł?

Mac Guire przedstawił kilka kawałków ubrania, o których wiedział, że Robertson zna je jako własność swojej ofiary; a jako dowód główny przedłożył bankierowi ów list, jaki on sam pisał do Maryi, prosząc ją o spotkanie i rozmowę.

— W jaki sposób pan tego dokonał? — spytał Robertson, a drżenie przebiegło jego całe ciało.

— Szedłem za nią ciągle, aż dojechała na zupełnie opuszczone miejsce przy kanale. Było ciemno — lekkie pchnięcie i agentka zniknęła w falach rzecznych.

Rysy Robertsona jakby skamieniały, kiedy się ozwał:

— Dobrze. Dostaniesz pan nagrodę. Zgłoś się pan po nią jutro.

— Jutro? Nie mogę czekać! Muszę mieć przynajmniej zaliczkę na te pięć tysięcy dolarów, które mi pan obiecał.

— Nie mogę panu dać!

— No, nie bawmy się w ciuciubabkę, mój kochany panie Robertson! Pan wykorzystasz mnie dla swoich celów. Ja wiem, dlaczego pan sprzątnął tę dziewczynę — sądzi pan, że ja się zabiorę do tak niebezpiecznej sprawy, nie zorientowawszy się przedtem, dlaczego?

— Co to ma znaczyć?

— Zaczekaj pan chwilkę, to się pan dowiesz!

Krew uderzyła na śmiertelnie blade oblicze Robertsona. Ogarnęła go wściekłość. Miałaby teraz on taki dumny, nieprzystępny męczyzna, być zmuszonym słuchać i ścierpieć, aby taki rzezimieszek w ten sposób doń przemawiał?

— Co pan sobie właściwie pozwala?! W ten sposób mówić do mnie! — zawołał, wstrzymując się od gniewu i podchodząc tuż do Szkota.

— Na co ja sobie pozwalam? — Mac Guire rozśmiał się szyderczo — na co ja sobie wobec pana pozwalam? Hahaha!

— Co to ma znaczyć?

(Dalszy ciąg nastąpi).